

Marta Kwaśnicka: Nieszczelność

Czy istnieje szatan?



- **Czy istnieje szatan?**

Dopiero co weszłam do gabinetu. Byłam zestresowana, bo rok wcześniej ten sam lekarz powiedział mi, że nie mam szans na bycie nauczycielem. O nic nie spytał, rzucił jedynie okiem na gardło i kazał powiedzieć „e”.

- Ma pani fatalną niedomykalność krtani. Fatalną. Najlepiej będzie natychmiast dać sobie spokój, bo tylko sobie pani szkodzi. Dam pani pozwolenie na pracę na rok, ale warunkowe i sama się pani przekona. Po prostu nie ma pani szans. Trzeba pomyśleć o innym zajęciu –

powiedział wtedy.

Pamiętam, że, kiedy wpisywał do karty swoją długą diagnozę, pełną niemożności, nieszczelności i zbytnej słabości, patrzyłam przez okno za jego plecami, bo dzień był słoneczny i wśród drzew w oddali widać było Kopiec Kościuszki. Co mam robić, myślałam. Wszystkie drzwi zamykają się, a ja powinnam w końcu wybrać jakąś drogę. Potem nastąpił rok zmagania z gasnącym powołaniem. Zaczęło przygasać już wcześniej, a laryngolog wbił tylko gwóźdź do jego trumny. Jeśli się nie da, to się nie da, co było robić. Nie ma nic gorszego, niż zasiać wątpliwość w słabnącym sercu.

Teraz znowu siedziałam w tym samym gabinecie, ponieważ jakimś cudem postanowiono przedłużyć ze mną umowę i musiałam po raz kolejny przejść badania kontrolne. Za oknem znów widać było Kopiec Kościuszki, pogoda była bowiem równie doskonała jak rok wcześniej. Był wrzesień w pełnym rozkwicie, drzewa na wzgórzu św. Bronisławy były jeszcze kędzierzawe i zielone. Tylko tu i ówdzie widać było pierwsze żółtawe liście.

- Mam niedomykalność krtani, wiem o tym – powiedziałam, wchodząc do gabinetu. – Ale, wie pan, radzę sobie – dodałam szybko. Nie brzmiało to zbyt wiarygodnie, ogłoszone zostało, rzecz jasna, zbyt cichym głosem, słabnącym z każdą sylabą. Doktor Eustachiusz spojrzał na mnie kpiąco. Okulary powiększały jego oczy, więc cały zdawał się być wzrokiem, co tylko dodatkowo rujnowało moją pewność siebie. Zerknął szybko na kartę i swoją diagnozę wydaną rok wcześniej.

- Uniwersytet, hę? – wyciągnął metalową łyżkę, którą za chwilę miał pomagać sobie w oglądaniu mojej krtani, i zaczął podgrzewać ją w płomieniu zapalniczki. – Zobaczymy.

Zapadła cisza. Ogień szumiał cicho, ja wpatrywałam się w okno, spoglądając na Kopiec. Czekałam na ostateczne potwierdzenie własnej niemożności.

- Byłam ostatnio na premierze „Diabłów z Loudun” Pendereckiego. Słyszała pani o tym? – spytał laryngolog.

- Opera. Coś podobnego do „Matki Joanny od Aniołów” Iwaszkiewicza – powiedziałam słabo, patrząc na Kopiec.

Była też obszerna książka Aldousa Huxleya i bazujący na niej dramat Johna Whitinga. Penderecki opierał się właśnie na nich. Sprawą interesował się też Dumas ojciec. Wszyscy, i Huxley, i Whiting, i Iwaszkiewicz, wyszli od tej samej, prawdziwej historii: rzekomego opętania całego klasztoru w Loudun, w tym jego przeoryszy, oraz spalenia kapłana, który miał im pomóc, a sam okazał się kusicielem.

Oczywiście, nie wiadomo, co dokładnie zdarzyło się w XVII-wiecznym francuskim miasteczku, bo mnóstwo tu niedomówień i wiele możliwości interpretacyjnych. Ojciec Grandier mógł po prostu poróżnić się z przeoryszą i narazić się na jej okrutną zemstę. Kobiety, kiedy nienawidzą, to zwykle nie mają litości i dążą do całkowitego unicestwienia przeciwnika. Tak mogło być w tym przypadku. A może – to moje przypuszczenie – ktoś lekkomyślnie szukał jedynie duchowego kontaktu i doszło do tragicznej nadinterpretacji. Wszystko mogło też wydarzyć się jedynie w głowie mniszki lub w głowie duchownego. Ileż historii tego typu to zwykle nieporozumienie.

Ale pisarze zwykle woleli wierzyć, że kapłan walczył z obskurantyzmem, albo że został złapany w sidła ziemskich namiętności, że opętany był tylko przez oczy przeoryszy, a za to, że im uległ, musiał zapłacić karę główną i zgorzeć. Albo że to ona i wszystkie

jej mniszki uległy raczej jego oczom, a potem starały się ukryć swoją winę. Zakonnice mogły też – to uwielbiany temat epoki postfreudowskiej – ulec masowej hysterii. Huxley gra właśnie tym wątkiem. Ksiądz byłby wtedy niewinną ofiarą kobiecych zaburzeń i instytucjonalnej opresji.

Kapłan mógł też być po prostu przedmiotem manipulacji. Wiadomo skądinąd, że prawdziwy ojciec Urbain Grandier nie cieszył się przychylnością kardynała Richelieu, bo wcześniej występował przeciw niemu publicznie. Purpurat był tymczasem drażliwym mężem stanu – sprawa opętania mogła mieć zatem i inne dno, polityczne. W trakcie procesu księdza wyszedł na jaw podpisany przez niego pakt z szatanem, w którym Zły po łacinie obiecywał swojej ofierze miłość kobiet, szacunek monarchów oraz zaspokojenie wszelkich namiętności. Ten pakt nie został chyba przez szatana spełniony do końca – szacunek władzy przecież nie nadszedł, nawet jeśli Grandiera rzeczywiście kochał cały konwent w Loudun – ale duszę księdza i tak uratowano na stosie.

Matka Joanna i jezuita Suryn to ta sama historia, tylko szkicowana dużo delikatniej i przeniesiona na Kresy. Uwielbiane przez pisarzy splątanie, w którym nie wiadomo już, co jest opętaniem, a co jest zwykłą, tylko niedozwoloną skłonnością. Także Herling chadzał podobnymi literackimi ścieżkami: zakonnica, diabeł, grzeszna miłość. Co za temat, gra sam, wystarczy tylko sięść i zacząć pisać: mężczyzna, kobieta, zabobon. Powołanie i jego ruina.

Kopiec Kościuszki żeglował ponad drzewami. W szybę okienną uderzała mucha, coraz bardziej leniwie. Już się objadła życiem, ale nadal była łakoma, chciała więcej, tylko chorowała już na wrzesień i opadała z sił. Tymczasem w tej całej opowieści kryło się, moim zdaniem, jeszcze inne pytanie. Kiedy zaczyna się wykroczenie? Bo historia Loudun, tak jak ją

dotąd opowiadano, nie jest drobiazgową wiwisekcją. Tam się namiętności i histerię serwuje całymi szuflami. Czy diaboliczne jest całe takie uczucie (jeśli tam w ogóle było uczucie), nawet jeśli stawia mu się zapory? I czy Grandier, kiedy zaczyna mieć słabość do matki Joanny, to już jest stracony? Nie, na to nie chciałam się nigdy zgodzić. Któż bowiem jest w pełni panem swojego serca, zwłaszcza, jeśli wyjątkowo naznaczono je darem empatii, jak to czasami bywa z sercami kapłanów? Takie czułe serca przecież łatwiej rozszczelnić, one ze swojej istoty w ogóle nie są szczelne. Gdyby zatem takie bezwolne przyłgnięcie do kogoś było opętaniem, gdyby nie było możliwości wydania temu walki, a wszystko od razu było upadkiem, to serca tego typu byłyby z góry skazane na klęskę i wieczne potępienie. Bóg zaś okazywałby się okrutnikiem, który bierze kogoś na służbę, aby wydać go następnie bezbronnyemu napastnikom. Nie, przecież tu jest jeszcze cała przestrzeń walki z kuszeniem i w tej przestrzeni mogą dziać się rzeczy naprawdę wzniosłe.

Bo historia z Loudun nie musi być historią upadku i podejrzanym pasji. Jeśli tak ją prezentowano, to może dlatego, że pisali ją dotąd mężczyźni, a ich zawsze nieco mniej interesuje dialektyka serca. Oni widzą zwykle demoniczność matki Joanny, która niemal zawsze ma przewagę nad swoim egzorcystą, i to, co może nastąpić potem, kiedy mężczyzna ulegnie. Tymczasem kluczowa jest chwila, kiedy pękają – lub nie – zapory obłąkanego ducha, kiedy trzeszczą zawiasy duszy. Loudun mogłoby być zatem opowieścią o grzechu i o tym, że zło wchodzi zawsze tamtędy, gdzie jesteśmy najsłabsi. To mogą być oczy matki Joanny, które dziurawią kapłańskie pancerze, ale nieszczelnością mogą być przecież i inne rzeczy: niefrasobliwość, złe słowo lub zaniżone poczucie własnej wartości. Czasami zwykły przypadek. Ale nigdy nie jest tak, że wszystko stracone.

Whiting uczynił z Grandiera nieszczęśnika, opętanego pragnieniem

autodestrukcji. Subtelność uczuć nie interesowała też Pendereckiego. Ten stworzył historię, która piętnuje fanatyzm religijny. Bo, oczywiście, istnieje jeszcze jedna metafizyczna możliwość. Diabła nie ma, a wszelkie skłonności powinny realizować się bez ograniczeń, wbrew średniowiecznym zabobonom, które głosi się tu i ówdzie.

- Duchowni wyszli z tej premiery, wie pani – zachichotał doktor Eustachiusz. – Co za obłuda. Proszę mi powiedzieć: czy wierzy pani w istnienie szatana? No proszę pani, żyjemy w XXI wieku. Kościół naprawdę powinien już przestać bajdurzyć. I te wszystkie egzorcyzmy, szkodenie ludziom, doprowadzanie ich do śmierci, kiedy im po prostu potrzeba lekarza. Lekarza im trzeba, wie pani, nie egzorcysty. Lekarza i tabletki, a nie relikwii. Bo wie pani, ja słyszałem, że tu się w Krakowie w kurii przetrzymuje palec papieża Jana Pawła. No relikwie, w XXI wieku? Palec tego biednego człowieka? A dajcież wy mu wszyscy święty spokój. Wie pani, to przecież zgroza jakaś. Więc ja panią pytam: czy istnieje szatan?

Oto sztuka Pendereckiego działała na umysły odbiorców, oto pan Homais poszedł do opery:

- Czy istnieje szatan?

Za oknem trwało słoneczne, wrześnieowe przedpołudnie. Płomyk pod łyżką nadal szumiał cichutko, mucha ciągle stuknęła w szybę. To właśnie nam zostało z Loudun i tamtejszych diabłów: czarny owad i zapalniczka. Niedomykalność.

- Oczywiście, że istnieje – powiedziałam swoim zbyt cichym głosem. Uśmiechnęłam się nawet, bo to było zabawne. Mówienie o tym w takich okolicznościach nie było przecież wyrazem heroizmu, raczej zmęczenia. Uniesienia Eustachiusza widziałam już tyle razy w innym

wykonaniu. Jest XXI wiek, wie pan, chciało się powiedzieć, chrześcijan naprawdę trudno już zgorszyć swoją niewiarą. Poza tym wcale nie zależało mi na tej pracy. Powołanie dawno wygasło. Jeśli lekarz orzeknie, że nie mogę uczyć, to zdejmie ze mnie odpowiedzialność, z którą szamotałam się już od dawna. Pójdę na uczelnię i pokażę papier: bardzo mi przykro, ale nie mogę, nie nadaję się.

- I wierzy pani w egzorcyzmy, naprawdę?

- Wierzę.

- Przecież tych wszystkich egzorcyzistów jest coraz więcej. Co za bezużyteczna banda.

- Oczywiście, egzorcyzmy powinno poprzedzić rozpoznanie psychologiczne. Ale nawet lekarze czasami przyznają, że źródło choroby jest duchowe. Egzorcyści są potrzebni.

Doktor Eustachiusz zgasił zapalniczkę, łyżka stała się już bowiem zbyt gorąca.

- I w relikwie pani wierzy? Naprawdę?

- Wierzę.

- W te wszystkie cudowne kosteczki?

- Wierzę.

I tak rozpoczęło się dziwne, długie wyznanie wiary. Mucha konała na szybie, łyżka stygła, Eustachiusz się gorszył, chociaż coraz słabiej. W końcu wyczerpał się zasób dręczących go pytań i zapadło milczenie.

Zapewne on sam był już zmęczony ich zadawaniem. Z pewnością stawiał je wcześniej wielu osobom, miał przecież codziennie bardzo wielu pacjentów.

- Bo wie pani, moja babcia mówiła mi w sumie: idź do kościoła. Na pewno nic złego nic tam ci nie zrobią – powiedział w końcu i zdjął okulary. Jego oczy radykalnie zmały, wyglądały teraz jakby należały do kreta. Kiwnęłam głową.

- Nie ma pani niedomykalności krtani – stwierdził po chwili ciszy i wpisał do karty pracy zamaszyste „b.o.”, bez ograniczeń, dokładnie w tej samej rubryce, w której w zeszłym roku tak bardzo protestował. – Tylko to się może zmieniać, ta niedomykalność. Na wszelki wypadek proszę na siebie uważać – dodał filuternie.

Skoro moja krtań jest w tak doskonałym stanie, to może jednak będę uczyć, pomyślałam wtedy. Nie ma nic szlachetniejszego niż zwrócić nadzieję sercu, które osłabło. Poza tym nawet zawodowy ateusz, nawet pan Homais musi się czasem rozszczęlnić. Każdego bowiem dopada znużenie, każdy czasami męczy się sam ze sobą, budzi się kiedyś z przekonaniem, że poniósł klęskę i że nie da rady zrobić ani kroku więcej. Nikt nie jest szczelny, absolutnie nikt.

Marta Kwaśnicka

Więcej wpisów tekstów na blogu autorki